

Gniewni ludzie żyją beztrosko

Gdy zeszłego lata czytałam „All You Need is Love” Jerzego Jarniewicza, słuchałam Janis Joplin i Doorsów, przy „Tłumaczu między innymi” – Dylana. Podczas lektury książki „Bunt wizjonerów” (wyd. Znak, 2019) towarzyszyli mi obecni w niej Stonesi.

Lata kontrkultury poprzedniego wieku wydają się bardzo ciekawe właśnie ze względu na ich buntowniczy charakter, który ma w sobie poetycki urok, romantyczną ideę, ale też opiera się na łamaniu zasad, (auto)destrukcji, agresji, nieposzanowaniu własnego życia i wystawianiu na szwank zdrowia. Jest wojną o pokój, stanem plasującym się pomiędzy tymi dwoma skrajnościami. Jest taki interesujący, bo niejednoznaczny, jest zjawiskiem granicznym, o niemal mitologicznym wymiarze sporu dobra ze złem. Również nasze pragnienie zgłębienia go jest dwuznaczne: z jednej strony bunt lat 60. wpłynął i ciągle wpływa na nasze życie i jest istotnym elementem współczesnej historii, z drugiej ciekawi nas, jak daleko posunęli się gniewni ludzie, jak to jest żyć beztrosko, ale na krawędzi, w narkotykowo-alkoholowym ciągu; nasz wzrok przyciąga tragedia, gdy z rąk policji lub młodych ludzi giną inni młodzi. To potrzeba brukowej *guilty pleasure*, ale i naukowa chęć poznania mechanizmów świata, w którym żyjemy. To wszystko przychodzi do głowy, gdy myśli się o buncie i o tym, dlaczego ciągle jest taki pociągający – a książka Jerzego Jarniewicza zawiera całą jego pokrętną i szaloną historię. Pierwszy dział to teksty o takich kultowych wydarzeniach jak strajk studentów w Berkley (1964) czy hippisowski festiwal Monterey (1967), powstanie i rozwój niezależnych od kapitalistycznego systemu komun, narodziny komputera osobistego, którego koncepcja powstała pod wpływem LSD, czy tekst o mariażu kontrkultury z awangardą.

Drugi dział skupia się na pojedynczych postaciach lat 60., ważnych i inspirujących, które wpłynęły na kształt kultury – barwnych artystów i buntowników w jednym. Zbiór tych osób nie jest oklepany i oczywisty, nie są to twórcy (i ich działania), którzy przeszli później do świadomości masowej i stali się popkulturą, to szczerzy kontestatorzy, każdy na wskroś indywidualny. Yoko Ono, Joni Mitchell, Joe Orton czy Joan Baez (z Dylanem) zostali sportretowani z perspektywy twórczego dorobku i wpływu, jaki wywarli na kulturę, ale też opisane są ich buntownicze, a czasem tragiczne życiorysy. Na przykładzie ich życia widzimy, jak spełnia się idealistyczna wizja twórczego buntu, który naprawdę coś zmienia.

Dział trzeci i ostatni to opowieści o utopiach: dzieje antypsychiatrii, równościowy bunt w należącem do mafii nowojorskim klubie Stonewall, tekst o pierwszej kobiecie, która (nielegalnie, w 1967 roku) przebiegła maraton w Chicago, symbolicznie inicjując odrodzenie feminizmu, czy rozdział o spektaklu legendy teatru Petera Brooka. Kończą go dwa teksty potwierdzające upadek i zmierzchu mitu kontrkultury: koncert Stonesów, na którym ochroniarz zespołu (członek gangu motocyklowego) zabił jednego ze słuchaczy (1969) oraz protest studentów w Kent, gdzie kilkoro z nich zabiła policja (1970).

Całą książkę również otwierają dwa symboliczne wydarzenia: pacyfistyczny, optymistyczny strajk studentów w Berkley, gdzie Mario Savio ściągnął buty, nim wszedł na dach policyjnego wozu oraz festiwal muzyczny w Monterey, równie udany i pokojowy. Mamy więc ukazaną historię kontrkultury od jej powstania i towarzyszących mu nadziei, przez okres świetności, do smutnego, krwawego i otrzeźwiającego wszystkich upadku. Po przeczytaniu książki ponownie obejrzałam genialnie nakręcony dokument o koncercie w Altamont, „Gimme Shelter” z 1970, który zawiera przypadkiem nakręconą scenę morderstwa. W książce to wydarzenie jest opisane w szczegółowy, niezwykle sposób. To wtedy ludzie pierwszy raz spróbowali przerażającej w skutkach mieszanki złej jakości kwasu i taniego wina, którą pili też, chyba nie do końca tego świadomi, operatorzy filmu, a wszystko

to zostało udokumentowane. Nawet gang Hell's Angels, który zajmował się głównie gwałtem, rabunkiem, szerzeniem nazizmu i rasizmu oraz piciem piwa, medytował z Ginsbergiem i palił trawkę z hippisami, a książkę-reportaż napisał o nich sam Hunter S. Thompson (czego zresztą niemal nie przypłacił życiem za to solidnym pobiciem przez gang).

Czy to wiek XVIII czy XX, utopijna rewolucja kończy się tak samo i zbiera krwawe żniwa, ale przecież tak wiele zmienia, a walka przynosi stałe efekty. Liczy się droga, a nie jej koniec czy cel, czyż nie tak się mówi? I choć dzisiaj bunt zmienił swoje oblicze, nie jest już tak romantycznie utopijny, to ciągle trwają protesty antywojenne, kobiety walczą o równe traktowanie, na ulice wychodzą „żółte kamizelki”, a ostatnio nawet i w Łodzi sprzeciwiono się polityce kulturalnej miasta organizując wydarzenie kulturalne. Bunt ciągle żyje, choć może dlatego, że dotyczy nas już bezpośrednio, jest bardziej rzeczywisty i przyziemny od kolorowej epoki hippisowskiego lata miłości.

Martyna Jakubiec